



FUNDACJA

Moje Wojenne Dzieciństwo



Blandyna Lewińska

Chciałam się zabić

Rany i blizny

Moje pogodne dzieciństwo skończyło się 1 września 1939. Skończyłam 8 lat i wkrótce miałam zostać uczennicą III klasy szkoły powszechnej w Warszawie. Niestety – wybuchła wojna. Piekło, jakie wtedy przeżywałam, głęboko wryło mi się w pamięć i psychikę. Naloty, bombardowania w płonącej Warszawie były dla mnie czymś przerażającym. Podczas jednego z bombardowań straciliśmy nasze mieszkanie.

Po zakończonych walkach zamieszkaliśmy w jednym, małym pokoju na placu Mirowskim. Było nas 7 osób. Straszliwa bieda, głód i brak odzieży uniemożliwiły mi uczęszczanie do szkoły. Do trzeciej klasy poszłam dopiero we wrześniu 1941 roku.

Okupacja w Warszawie była bardzo ciężka. Łapanie, rozstrzeliwania były na porządku dziennym. Szczególnie ciężko przeżyłam jeden taki dzień. Wracałam z wypożyczalni książek ze Starówki i nagle na ul. Senatorskiej zrobił się duży ruch. Ludzie zaczęli uciekać, więc ja również skryłam się do bramy. Tego, co zobaczyłam, nie zapomnę do końca życia. Widziałam, jak zajechały ciężarówki, z których wyciągnięto kilkunastu mężczyzn. Ustawiono ich pod ścianą i rozstrzelano. Przeżyłam szok. Długi czas nie mogłam tamtędy przechodzić, bo wszystko na nowo odżywało w mojej pamięci.

Okropne wrażenie robiły na mnie dzieci żydowskie, te żywe jeszcze szkielety ludzkie, które wymykały się z getta poprzez otwory w murze.

To wszystko było bardzo ciężkie do zniesienia, ale najgorsze zaczęło się dla mnie 1 sierpnia 1944.

Były wakacje i mimo braku pozwolenia rodziców na wyjście z domu, ja i moja o rok starsza siostra wymknęłyśmy się. Była godzina 16. Ona poszła do koleżanki, a ja do biblioteki przy ul. Świętojańskiej, kiedy usłyszałam pierwsze strzały, postanowiłam wrócić do domu, który znajdował się na placu Żelaznej Bramy. Niestety; już na Senatorskiej nie mogłam się przedrzeć dalej, bo na placu Bankowym zaczęły się ciężkie walki. Wróciłam więc i skryłam w Ratuszu na placu Teatralnym. Tutaj dowiedziałam się, że wybuchło powstanie. I tak znalazłam się nagle sama bez rodziców, bez środków do życia w 13 roku życia. Mieszkańcy okolic Ratusza przygarnęli mnie jednak i dawali pożywienie.

7 sierpnia powstańcy zarządzili ewakuację w głąb Starówki. Znalazłam się na ul. Mostowej, gdzie w piwnicy pewnego domu pozwolono mi zamieszkać. Głód, brak odzieży, pościeli, ręcznika, mydła coraz bardziej mi dokuczał. Pomógł mi pewien sierżant, który pozwolił mi włączyć się do pracy przy kuchni polowej. Cieszyłam się, że mogłam pomóc powstańcom, a jednocześnie pożywić się trochę.

W dniu 13 sierpnia przeżyłam szok, który na długo pozostawił ślad w mojej psychice. Otóż chłopcy z Szarych Szeregów zdobyli pierwszy czołg niemiecki. Radość była ogromna. Masa dzieciaków ze Starówki, a wśród nich i ja, biegła za sunącym w kierunku Podwała czołgiem. Podczas tego biegu rozleciał mi się sandał (drewniak) i nie mogąc dalej iść, wróciłam do mieszkającego opodal szewca. W tym czasie, gdy uprzejmy szewc reperował mi sandał, usłyszałam potężny huk. Wysłam na ulicę i zobaczyłam, jak ludzie biegną w kierunku Podwała. Pobiełam i ja. To, co zobaczyłam, wprawiło mnie w straszny stan przerażenia. Wszędzie na ulicy, na pobliskich domach, balkonach leżały i wisiały szczątki ludzi, ich nogi, ręce i kawałki ciał. „Zdobyczy” czołg okazał się pułapką, zawierającą bombę zegarową.

Ten silny wstrząs, ciągła strzelanina i bombardowania, coraz większy głód, brak środków higieny (wszawica) sprawiły, że załamywałam się coraz bardziej. Powoli traciłam nadzieję na przeżycie tego piekła, jakie rozpętało się na Starówce. Najgorszy jednak stał się dzień 26 sierpnia, kiedy podczas kolejnego nalotu dwie bomby spadły na dom, w którym przebywałam. Nagle cały dom runął na mnie. Pochłonęła mnie ciemność i straszliwie gęsty kurz, który zatykał mi gardło, nos i oczy. Leżałam na podłodze, ale koło mnie było trochę luzu, tak jak bym znalazła się w jakiejś skrzyni. Zrozumiałam, że przecież ja leżę pod kozetką, która przewracając się na nogi, zebrała na siebie cały gruz, chroniąc mnie przed śmiercią. Wokół słyszałam krzyki i jęki rannych, ludzie dusili się. W pewnym momencie poczułam, że pryska na mnie strumień wody z pękniętej rury wodociągowej. Całymi garściami chłoniłam tę wodę, uzyskując w ten sposób trochę tlenu. Po jakimś czasie, który wydawał mi się wiecznością, zobaczyłam maleńki promyk światła. Zaczęto nas odkopywać. Doczołgałam się w tym kierunku i wydostałam na zewnątrz. Miałam zranioną nogę. Z czterdziestu osób, które przebywały wraz ze mną w piwnicy, ocalało tylko siedem. Kiedy dowlokłam się do pobliskiego budynku, byłam tak rozpalona, że przy polewaniu wodą, buchała ze mnie para.

Nowy kąt, jaki znalazłam, był w sklepie przy ul. Długiej róg Freta. W trzy dni potem, gdy wysłam na podwórko do znajdującej się tam studni, zostałam silnie rzucona na ścianę przez podmuch ciężkiego pocisku. Straciłam przytomność, ale po pewnym czasie odzyskałam ją.

2 września dotarli do nas Niemcy, a właściwie włosowcy. W rękach mieli miotacze ognia i krzyżąc, wyciągali ludzi z piwnic i różnych zakamarków. Nie czekając, aż wszyscy się wydobędą, mimo że słyszeli jęki i krzyki pozostałych tam jeszcze ludzi, puszczały strumień ognia w ich kierunku. To było prawdziwe piekło. Potem ustawiono nas w szeregu i ściągano pierścionki, obrączki i inne kosztowności. Następnie pognano nas w kierunku Woli. Droga przez pałacą się zgruzowaną Warszawę była dla mnie straszliwą udręką. Umęczona, z raną na nodze, wlokłam się, wydobywając z siebie resztki sił, żeby nie paść na zawsze.

Po dotarciu do Dworca Zachodniego załadowano nas do pociągu i przewieziono do obozu w Pruszkowie. Tu dostałam opatrunek na nogę i kawałek miejsca na betonowej podłodze w dużej hali. W Pruszkowie przebywałam kilkanaście dni. W połowie września załadowano mnie wraz z innymi ludźmi do wagonu towarowego, dając po bochenku chleba. Wodę mieli tylko ci, którym udało się znaleźć jakąś butelkę lub puszkę. W wagonie znalazło się około 60 osób. To była makabryczna podróż. Brak było wody, powietrza i miejsca na załatwienie potrzeb fizjologicznych. Nie wiedzieliśmy też, dokąd nas wiozą. Po trzech dniach pociąg się zatrzymał i otworzono zaryglowane drzwi. Wydostaliśmy się na zewnątrz. Stwierdziliśmy z przerażeniem, że znajdujemy się na terenie Niemiec, w okręgu Westfalia.

Popędzono nas do obozu, który, jak się okazało, był obozem przejściowym, selekcyjnym. Przy rejestrze nadawano nam numery i robiono z nimi zdjęcia. Ja dostałam numer 15 516, a zdjęcie z tym numerem przechowuję do dziś. Potem skierowano nas do łaźni, a następnie były oględziny przez komisję składającą się z lekarza i innych mężczyzn. Było to dla mnie ciężkie przeżycie, kiedy nakazano mi prze-defilować całkiem nago przed oczami tych mężczyzn.

Z obozu tego wybierano ludzi, transportując ich do innych miejsc. Przybyszów z Warszawy traktowano wyjątkowo brutalnie, nazywając ich „Warschauerbanditten”. Dlatego też zapewne znalazłam się w transporcie, który skierowano do obozu karnego strafefan-genenlager – Werl. Był to mały obóz podległy władzom SS, na terenie którego znajdowało się 8 baraków. W czterech barakach przebywali obywatele ówczesnego Związku Radzieckiego, a w czterech Polacy. Przy rejestrze otrzymałam numer 3616 oraz przydział do baraku Nr 6 sztuba 58. W izbie tej znajdowało się osiem piętrowych drewnianych prycz, na których leżały słomiane sienniki oraz po jednym kocu. Na terenie znajdował się barak, w którym mieściła się kuchnia, łaźnia i gabinet lekarski. W pobliżu znajdował się murowany dom, w którym mieszkał Lagerfuhrer (komendant obozu), jego żona (z psem – owczarkiem) i wartownicy. Cały teren był otoczony siatką i drutem kolczastym. Na przeciwległych krańcach znajdowały się bramy, przy których stały drewniane wieże z wartownikami. Jedna brama prowadziła do miasta, druga do pobliskiej fabryki amunicji. Tędy każdego dnia (oprócz niedziel) przeprowadzano nas o godz. 5.45 rano do pracy w fabryce. Praca trwała od 6 do 18 z półgodzinną przerwą na zjedzenie zupy. Przydzielono mnie do ładowania skrzyń na samochody. Skrzynie napelnione nabojami okazały się tak ciężkie, że przewracałam się wraz z nimi. Skierowano mnie więc do lakierni. Tutaj przydzielono mi stanowisko na końcu taśmy produkcyjnej. Zadaniem moim było zdejmowanie gotowych (osadzonych

na przesuwającej się taśmie) głowic pocisków i nakładanie na otwory w tarczy obrotowej, poddając je lakierowaniu. Praca odbywała się cały czas aa stojąco, bez chwili odpoczynku (oprócz półgodzinnej przerwy obiadowej) przez 12 godzin. Lakiernia, czyli końcowa część hali produkcyjnej oddzielona była szklaną ścianą i ciężko cuchnące i szczypiące w oczy opary skomasowane były w pobliżu mego stanowiska pracy. Wspólnie ze mną pracowały dwie Rosjanki. Starsza, którą nazywałyśmy cicią Tanią, oraz młodsza Zoja. Zoja zdejmowała polakierowane głowice i umieszczała je na drewnianych podstawach, zwanych brettami. Tania pakowała do skrzyni wyschnięte głowice. Praca ta była dla mnie tak ciężka, że po 12 godzinach miałam opuchnięte nogi, obolały kręgosłup, omdlałe ręce i zaropiałe, od chemicznych oparów, oczy. Straszne było również to, że stojąc na końcu (będącej w ciągłym ruchu) taśmy, nie mogłam na moment odejść, bo wtedy tkwiące w pasie głowice zaklinałyby go, a praca na wszystkich stanowiskach by stanęła. Bywało, że nie mogłam utrzymać moczu do przerwy i oddawałam go pod siebie.

Nadzorował nas bezpośrednio majster o imieniu Rudi. Miał bardzo brzydką i debilową twarz, ale nie był zły. Natomiast inżynier, który nas kontrolował, był wyjątkowo podłym typem. Wysoki, chudy, kulejący okazywał nam na każdym kroku pogardę i bezwzględność. Szczególnie mocno wryły mi się w pamięć trzy wydarzenia. Pierwsze – gdy kazał mi ogolić głowę; drugie – gdy uderzył mnie w twarz, kiedy nie mogłam utrzymać moczu; trzecie – gdy skatował Zoję do nieprzytomności, a mnie chyba tylko dlatego nie pobił, bo się bardzo zmęczył. Przyczyną jego wściekłości była, niezawiniona przez nas, awaria maszyny, skonstruowanej przez niego w celu szybszego wysuszenia głowic.

Żywnienie w obozie było głodowe. Składało się z przydzielanego raz na tydzień połowy bochenka razowego chleba, miseczki melasy i połowy kostki margaryny. Rano i wieczorem przynoszono do baraku termosy z gorącą miętą. W południe otrzymywałyśmy (na terenie fabryki) miskę zupy składającej się z rozgotowanych obierek ziemniaczanych, jarmużu lub brukwi. Najlepsza była kolacja w niedzielę, kiedy otrzymywałyśmy tzw. melhzupę z proszku mlecznego z zacierkami i słodzoną. Mięsa w naszym pożywieniu nie było, a paczek żywnościowych nikt nie otrzymywał.

Głód, wyjątkowo ciężka, ponad moje siły, praca, brak odzieży (wysłałam z domu w letniej sukience), choroby (próchnica zębów, bóle kręgosłupa, nóg i oczu) oraz ciągle napięcie nerwowe i poczucie zagrożenia, a także brak jakiegokolwiek świadomości o rodzinie – spowodowały u mnie krańcowe wycieńczenie fizyczne i całkowite załamanie psychiczne. Szczególnie mocno odczułam to w Wigilię Bożego Narodzenia 1944. Wtedy to właśnie postanowiłam skończyć swoją mękę i życie. Los jednak chciał inaczej. Gdy wysłałam na teren obozu, by zrealizować swoje postanowienie i powiesić się – usłyszałam nagle płynącą z głośnika przy wartowni melodię, która mnie zaszokowała. Stałam jak wryta i poczułam, jak niemal dosłownie serce mi pęka ze wzruszenia, a gardło ściska dławiący skurcz. Melodią, która mnie tak zaskoczyła i rozrzewniła, była kolęda „Cicha noc, święta noc” śpiewana również przez Niemców. Nagle oczami wyobraźni zobaczyłam swój dom rodzinny, stół, opłatek i mamę śpiewającą tę kolędę. Hamowany przez wewnętrzne otepienie szloch zawładnął mną całkowicie, a dotychczasowe napięcie rozwiązało się zupełnie. Wróciłam do baraku i długo, długo jeszcze płakałam. I tak to śmierć ominęła mnie jeszcze raz.

Od połowy lutego 1945 zaczęto nas wyprowadzać, a czasami wożono koleją do odległego o 16 kilometrów Soestu – dużego węzła kolejowego w Westfalii. Rozkazywano nam naprawiać zbombardowane przez aliantów tory kolejowe. Praca ciężkim kilofem przy kilkunastostopniowym mrozie była dla mnie straszliwą udręką. Było mi potwornie zimno (brak ciepłej odzieży, letnie pantofle), a głód doskwierał szczególnie mocno. Choć brzmi to paradoksalnie, ale wybawieniem dla mnie stawały się naloty samolotowe. Przerывano wtedy pracę i każdy krył się gdzie popadło. Podczas jednego z ciężkich nalotów uratował mi – być może – życie jakiś Włoch (jeniec), który wciągnął mnie, pędzącą na oślep, w żelazną rurę melioracyjną, która ochroniła nas przed odłamkami. W kilka dni później w czasie następnego nalotu, zgubiłam na polu w grząskiej ziemi swoje jedyne pantofle. Do tej pory nie mogę pojąć, jak to się stało, że wracając do obozu boso, przeszłam 16 kilometrów po śniegu i nie rozchorowałam się. W obozie przydzielono mi buty zrobione całkowicie z drewna.

Naloty stawały się coraz częstsze. Na terenie obozu były schrony, do których pędzono nas także w nocy. Było w nich bardzo zimno, nie było na czym usiąść i stała w nich woda po kostki. Ponieważ byłam potwornie zmęczona i śpiąca, postanowiłam tam nie schodzić. Skończyło się to dla mnie dość smutno, bo nakryła mnie na tym przestępstwie lagerfuhrerka i mimo że skryłam się na górną prycę, jej pies dopadł mnie tam i mocno poturbował.

W Wielki Piątek Wielkanocny 1945 o północy do baraku wpadła lagerfuhrerka, rozkazując wszystkim ubrać się i zwrócić koce. I wtedy doznałam jeszcze jednej krzywdy od tej bestii, która nie zasługiwała na miano człowieka. Okazało się, że po obliczeniu przez nią ułożonych na środku koców, brakowało jednego. Ja swój zwróciłam (zaświadczyła to sztabowa), ale miałam na sobie uszytą niedawno dla mnie przez jedną ze współtowarzyszek sukienkę z koca, który kupiłam za cały tygodniowy przydział chleba. Lagerfuhrerka dopadła mnie i bijąc, zdarła ze mnie tę sukienkę. Było to dla mnie straszne przeżycie. Nie tyle chłód, co wstyd, że zostałam prawie naga (w podartej, krótkiej ko-

szulce i podartych majtkach), wprowadził mnie w stan straszliwej rozpacz. Do końca życia nie zapomnę naigrywania się ze mnie wartowników, którzy konwojowali nas z obozu. Później dopiero zlitowała się nade mną pewna kobieta i dała mi ręcznik, którym się owinęłam. I chociaż upłynęło już ryle czasu, to do tej pory powtarza się i prześladuje mnie sen, w którym, z poczuciem wstydu, staram się naciągnąć przykrótką koszulkę.

Była ciemna, zimna noc, kiedy wyprowadzono nas z baraku. Najpierw pognano nas w kierunku wschodnim, a potem maszerowałyśmy chyba dookoła. Marsz ten był tak wyczerpujący, że wiele, szczególnie starszych kobiet, padło i nikt nie był w stanie im pomóc. Dopiero nad ranem zarządzono odpoczynek. Wyczerpane do ostatka i prawie nieprzytomne osunęłyśmy się na ziemię. Kiedy ocknęłyśmy się, stwierdziłyśmy ze zdumieniem, że wokół nas nie ma ani jednego wartownika. Po prostu ulotnili się. I nagle stwierdziłyśmy, że jesteśmy wolne. Zaczęłyśmy rozchodzić się grupkami w poszukiwaniu jakiegos schronienia. Zwyłyśmy się po drodze wschodzącą oziminą oraz brukwią z kopców.

Ja znalazłam się w grupie 16 kobiet, które zatrzymały się u bauera. Przydzielił on nam jedną przegrodę w stajni, ustalając, że za pracę w polu da nam pożywienie. Dostałam wtedy pierwszy, od kilku miesięcy, dobry posiłek, składający się z gęstej zupy z warzywami i mięsem. Następnego dnia poszłyśmy do pracy w polu, polegającej na rozrzucaniu gnoju. Trwało to około kilku dni.

Front zbliżał się coraz bardziej. I nagle pewnego dnia na podwórko naszego bauera wjechał czołg, a na nim żołnierze amerykańscy. Radość nasza nie miała granic, byłyśmy nareszcie wyzwolone. I tak skończyła się moja gehenna.

Wkrótce znalazłam się w obozie dla Polaków zorganizowanym przez UNRRA, mieszczącym się w uzdrowisku Bad Sassendaf. Dostałam przydział do miłego domku z normalnym, czystym i ciepłym łóżkiem. Gospodyni – Niemka poczęstowała mnie ziemniaczanymi plackami, których rozkoszny smak będę pamiętała po wszech czasy. Przydzielono mi także z magazynów bieliznę, sukienkę, płaszcz, obuwie oraz 2 koce. Z kuchni polowej otrzymywałam pożywienie oraz paczki, w których były przeróżne konserwy i czekolada. Dostałam też pomoc lekarską i leki.

Na terenie obozu zorganizowano szkołę powszechną dla dzieci, a ja zostałam uczennicą szóstej klasy. Pamiętam, że zostałam kiedyś wyróżniona za pracę klasową pt. „List do mojej Mamy”. Po pewnym czasie zainteresował się mną pewien nauczyciel, który w trosce o moje dalsze losy postanowił poprzez Szwedzki Czerwony Krzyż znaleźć mi nową rodzinę w Szwecji. Doceniałam jego troskę, ale świadomość, że miałabym nie wrócić do Polski, do Warszawy, przerażała mnie. Miałam też nikłą nadzieję, że może ktoś z mojej rodziny ocalał. Dlatego też postanowiłam za wszelką cenę dostać się jak najszybciej do Polski. W tym celu nawiązałam kontakt z obozem dla ówczesnych obywateli Związku Radzieckiego, gdyż u nich organizowano już transporty powrotne. Pomogły mi w tym życzliwe dla mnie Rosjanki, które ukryły mnie wśród swoich. Niestety, niezbyt daleko udało mi się dojechać. Na granicy okupacyjnej zatrzymano mnie i umieszczono w obozie przejściowym, z którego organizowano transporty dla ludności polskiej. Po tygodniu udało mi się uzyskać upragnioną przepustkę, ale niestety nic z tego nie wyszło, bo w nocy (spaliśmy na ogólnej, dużej hali) ukradziono mi ją. Dopiero po pewnym czasie udało mi się dostać do wymarzonego transportu.

I tak 20 października 1945 po 2-dniowej podróży znalazłam się w Krakowie. Mieszkała tam moja ciocia, której adres pamiętałam z listów z okresu dzieciństwa. Liczyłam na to, że znajdę tu schronienie i dowiem się czegoś o mojej rodzinie. I rzeczywiście znalazłam nie tylko ciocię, ale mieszkającą u niej moją mamę, babcię i siostry. Niestety radość moja została przyćmiona wiadomością, że ojciec zginął w Powstaniu Warszawskim, a mama straciła wzrok.

Po pewnym czasie przydzielono naszej rodzinie mieszkanie poniemieckie. Otrzymałam też skierowanie na bezpłatne leczenie, gdyż okazało się, że w płucach miałam zmiany na tle gruźliczym. Usunięto mi też kilka zepsutych zębów. W kręgosłupie jednak pozostały zniekształcenia i zmiany na całe życie. Żywienie otrzymywałyśmy z RGO.

Warunki były dość trudne, ale świadomość, że jestem już w Polsce, wśród najbliższych dawała mi poczucie bezpieczeństwa i ulgi.

Dramat przeżytych w czasie wygnania chwil i doznań na trwale okaleczył moją psychikę. Nie potrafiłam już tak swobodnie, jak kiedyś, śmiać się, radować i uczestniczyć w zabawach moich rówieśników. Trzeba było wielu, wielu lat, by nauczyć się na nowo cieszyć życiem.

Rany i blizny jednak pozostały.